

Adam Wiaryga-Minieski.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

3

— Prawda, dwadzieścia trzy lata... — powtórzyła matka — jak to czas leci.

— Gdyby nie wojna — dodała z pewnym żalem — byłbyś już może skończył uniwersytet, byłbyś doktorem prawa.

Legionista machnął ręką.

— E! Co tam o tem myśleć teraz.

— Przecież wojna nie długo skończy się. Powrócisz do studyów, do pracy... — pani Dowgirdowa wpatrzyła się w syna, jakby czekając potwierdzenia swych słów.

Tadeusz nie odpowiedział. Po chwili podszedł do matki i ujął ją za obie ręce, ręce małe, kształtne, delikatne, z widocznymi jednak śladami grubej pracy kuchennej.

— Teraz ty się pokaż, matuchno, jak wyglądasz... O! zmizerniałaś mi trochę... To nie-dobrze!

— Zdaje ci się tylko, Tadziu — odwróciła nieco głowę — ale chodźmy, czas siadać do stołu. Tyś pewno głodny?

— Jak wilk, mamusiul!

— W tej chwili podaję.

— Ale to widzę, parada! Ryba, klusieczki z makiem, buchtą z powidłami, strucla migdałowa, makowniki...

— Dzięglewscy odstąpili mi trochę białej maki, cukru... Oni mi dużo przysług oddają. A tę strucelkę migdałową to już Jania sama upiekła dla ciebie. Pamiętała, że ty lubisz...

— Doprawdy? — zdziwił się.

— Ach! To takie dobre, miłe dziewczątka. Zauważyłeś, jak wyładniała?

— Wyładniała? Być może... Zdaje się, że rzeczywiście — odparł z pewnym rozlgnięciem, myśląc widocznie o czem innym,

— Dużą mam z niej pociechę w mojej samotności. I jak ona ciebie zawsze wspomina! — dorzuciła Dowgirdowa z lekkim naciskiem.

— No, to ma lepszą pamięć odemnie, bo ja, przyznam się, że dzisiaj dopiero przypomniałem sobie o jej istnieniu.

— Nie miałeś czasu myśleć o pannach... A może zgubiłeś gdzie serce na kwaterze, łobuzie? — spytała pani Dowgirdowa, z ledwo uchwytnym niepokojem.

— O! nie! — odpowiedział tak żywo, że aż matka spojrzała na niego zdziwiona.

Weszli do pokoju. Pani Dowgirdowa wzięła opłatek z talerza. Ręka jej drżała silnie. Powieki mrugały nerwowo, bo ta kobieta, która już wiele bolesnych straci przeboleła, nie lubiła płakać w obecności ludzi, nawet w obecności syna.

— Tadziu, życzyć ci, żebyś na przyszły rok... już w wolnej Polsce...

— I ja mamusi życzyć... życzyć...

Nie mógł dopowiedzieć, bo go coś dławiło. Pochylił się tylko w milczeniu do ręki matczynej.

— Moje dziecko... Tadziu...

Pani Dowgirdowa czując, że dłużej nie zdoła zapanować nad cisnącemi się do oczu łzami, podreptała do kuchni. Za chwilę powróciła z wazą pełną barszczu, który pachnął grzybami.

Tadeusz ochotczo zabrał się do jedzenia. Matka sama jadła niewiele, lecz z ogromnem zadowoleniem patrzyła, jak syn podawane przez nią potrawy pochłania formalnie, przychwalając kiedy niekiedy.

— Wyśmienite!... Wyborne!... Doskonale!...

Nie chcąc mu przeszkadzać, nie odzywała się prawie wcale. Dopiero gdy przyszła kolej na ciasto, jabłka i orzechy, rzekła:

— Opowiedzże mi teraz, Tadziu, coś o sobie, o was wszystkich. Co wy teraz robicie, wy legioniści?

— My? nic. — Równe brwi Tadeusza zbiegły się nagle nad jego głęboko osadzonemi, ciemnoniebieskimi oczyma.

— Jaki?

— A cóż robić możemy? — w głosie Legionisty brzmiała nuta bolesnej ironii — Czekamy.

— Na ostateczne uformowanie rządu polskiego? Przecież lada tydzień powinni was wcielić do armii polskiej! — nacierała pani Dowgirdowa.

— Nie wiem — odparł krótko.

— Tadek! ty coś ukrywasz przedemną!... Co się dzieje? Mów!

Tadeusz przestał jeść. Podniósł rękę do czoła i potarł je.

— Nie, mamu, nic nie ukrywam. Tylko nie wiem... naprawdę nie wiem — odpowiedział prawie z jękiem. — Nie pytaj więc... Tyle ci tylko powiem, że ciężka jest dola żołnierza polskiego i że trudno znaleźć drogi do Polski. Bo nie idą one ze Wschodu ani z Zachodu, tylko szukać ich trzeba samemu.

Pani Dowgirdowa pobladała tak, że twarz jej drobna i okrągła świeciła niby biały krawiec opłatek.

— Tadziu, ty zwątpiłeś? Ty, taki zapalony, ty, jeden z pierwszych...

Tadeusz wyprostował się. W żrenicach zapaliły mu się złote iskry. Jego rysy energicznie i oryginalnie wykrojone, ale nieregularne, zajaśniały w tej chwili dziwnie szlachetną pięknoscia.

Spojrzenie matki padło mimowoli na jeden z rozwieszonych po ścianach rodzinnych portretów.

— Jaki podobny... — mignęła jej myśl i zabobonna trwoga ścisnęła serce.

— Nie, mamu, nie zwątpilem! Nie chcę mnie źle rozumieć! Można wątpić w ludzi, w rządy, w wypadki, ale nigdy w tę gwiazdę, która nas wiodła! Ona nie zgaśnie i jeśli nie my, to inni...

Na czole pani Dowgirdowej poznać było skupioną pracę myśli. Praktyczny zmysł życiowy podszeptował jej rady.

— Tadziu — szepnęła, pochylając się ku synowi — a gdybyś ty tak postarał się... Może to by się dało zrobić... Mamu przecież wpływowych znajomych, którzy mogliby dopomóc.

Legionista potrząsnął przecząco głową.

— Nie, mamu, nigdy! Musimy pamiętać, tak jak ongi książę Józef, że „Bóg nam powierzył honor Polaków...“ Trzeba wytrwać do końca, jakikolwiek on będzie.

Zapanowało milczenie. Tadeusz podparł ręką głowę w zadumie. Pani Dowgirdowa kruszyła machinalnie w palcach kawałek ciasta.

Nagle w staroświeckim ściennym zegarze załopotało. Wyskoczyła kukulka i wykukała godzinę dziewiątą.

Tadeusz drgnął, zbudzony z zamyślenia. Uśmiechnął się. Przypomniały mu się dziecińskie lata, kiedy to zegar z kukulką był przedmiotem jego ogromnego zainteresowania i podziwu i co godzina wywoływał wybuchy radości.

Młodzieniec rozejrzał się po pokoju.

— Jak tutaj nic się nie zmieniło — szepnął — jak tutaj miło, dobrze, zacisznie...

— Ech! — zawołał po chwili prawie już wesoło — co tam! Wszystko będzie jeszcze dobrze!

Wstał i zaczął obchodzić pokój dokoła, dotykając sprzętów, biorąc z półek książki, przyglądając portretom i obrazom, jakby się pragnął z niemi po długim niewidzeniu przywitać.

Zatrzymał się wreszcie przed ustawioną w rogu oszkloną, empirową szafką, na której półkach leżały najdroższe pamiątki rodzinne.

Przekręcił kluczyk i otwórzszy szafkę brał po kolei do ręki: małe popiersie Kościuszki z alabastru, pieczęć w kształcie głowy Napoleona, list jakiś poślizgnięty, pierścionek z Matką Boską, dziwnego kształtu złotą banieczkę do pachnidła, miniaturę pięknej damy w dekolowanej sukni i pudrowanej peruce. W końcu sięgnął po wojskowy medal na przetartej wstążeczce i porównując go z własnym, który mu błyszczał na siwym suknie munduru, rzekł:

— Zupełnie podobny.

W tej chwili pani Dowgirdowa zerwała się z krzesła i podbiegając do syna wyrwała mu stary medal z ręki.

— Zostaw to, zostaw!

Legionista spojrzał zdziwiony. Uderzył go błędny jakiś strach w oczach matki.

— Dlaczego, mamusiul? O co chodzi?

Zawahała się przez chwilę czy mu powiedzieć. Wstydziła się sama przed sobą tej przesadnej trwogi, jaka nią ogarniała mimo jej woli.

Czuła jednak, że winna synowi wyjaśnienie. Zamykając szafkę na klucz, powiedziała z przymusem.

— Ten medal należał do twojego pradziadka, który umarł na San Domingo. Młody był, dzielny, rwał się do życia. W kraju zostawił żonę i małego syna. Z bitew wyszedł cało, zmiołła go żółta febra. Twojej prababce odesłano ten medal. To bardzo smutna pamiątka, lepiej jej nie ruszać.

Tadeusz słuchał uważnie. I znowu cień omroził jego jasną twarz.

— San Domingo... San Domingo... czarna karta promiennej legendy... Czy to tylko aby ostatnie polskie San Domingo?

Przez długą chwilę słychać było w pokoju jeno tykanie zegara i oddechy matki i syna.

Tadeusz pierwszy otrząsnął się z przykrego wrażenia. Jego zdrowa młodość i wesoła, energiczna natura buntowały się przeciw smutkowi i przygnębieniu.

Widząc zaszępiłą twarz matki, zapragnął ją koniecznie rozweselić.

— Aha! — zaczął zupełnie swobodnym tonem — miałem mamusi coś pokazać. Doskonałe rysunki.

Sięgnął do kieszeni bluzki po portfel.

— Mam w moim plutonie malarza jednego. Kawał urwipolcia, ale ze złotem sercem chłop i ogromnie zdolny. Szczególnie karykaturzysta pierwszorzędnym. O, proszę patrzeć! To karykatura naszego komendanta... przewyborna!... A to „markirant u doktora“, tutaj ma mamusia „rozdawanie menaży“, a to „Legun na kwaterze“, a to znów moja mizerna osoba.

Usiadł przy matce i wyjmując z portfela jeden po drugim świstki z ołówkowymi rysunkami, rozkładał je na stole.

Pani Dowgirdowa w pierwszej chwili spojrzała przełotnie, obojętnie. Gdzie jej tam było do oglądania karykatur, choćby najdowcipniejszych. Tadeusz jednak dodawał do nich tak zabawne komentarze, tak żywo, z takim humorem opowiadał żołnierskie dowcipy, że powoli udało mu się rozweselić matkę.

Posępny cień z San Domingo bladnął, roz-wiewał się.

Poco truć się złemi przeczuciami, dręczyć czarnymi myślami, kiedy jej Tadek jest przy niej, zdrowy i wesoły. Cóż złego grozić może, gdy on dowcipkuje tak swobodnie i śmieje się tak szczerze?

Głuche obawy, niejasne przeczucia rzeczy, które być mogą, rozplywały się w promiennej chwili szczęścia, które jest.

Tadek jednak, jej ukochanie, duma, pociecha najmilsza siedział tu, przy stole, po tylu miesiącach rozłąki, tęsknot, niepokojów. Może patrzeć na niego, słuchać jego głosu i śmiechu.

Pani Dowgirdowa usiłuje odpędzić z mózgu natrętą myśl, że to tylko na osiem dni, na krótkich osiem dni. A potem... Co tam! Nie myśleć teraz, co będzie potem.

Wisząca lampa świeciła jasno, krzesając złotawe błyski w ciemno-blond włosach młodego Legionisty, a matce Tadeusza było tak, jakby w jej skromnym pokoiku wzeszło słońce.

Pani Dowgirdowa zaśmiała się kilkakrotnie, a śmiech miała dziwnie jeszcze młody, srebrzysty, nie tyle może rozbawiona wesołemi opowiadaniem ile upojona samym dźwiękiem głosu synowskiego.

— Widzi mamusia — objaśniał dalej Tadek — to jest tak zwany w kompanii „szklany Zyzio“. Paniczyk, elegancik. Teraz, co prawda, elegancja już porządnie się sfatygowała. Opowiadają o nim, że dawniej, w „cywilu“, to chodził w gorsecie, ręce na noc smarował goldkremem i sypiał w rękawiczkach.

Tadeusz urwał i uderzył się dłonią w czoło, jakby mu słowo „w rękawiczkach“ przypomniało coś.

— Ach! cóż za fujara ze mnie! Toż ja zupełnie zapominałem, że ja mamusi coś przewiozłem! W tej chwili przyniosę!

Zerwał się, odsunął z hałasem krzesło i pobiegł do drugiego pokoju, gdzie złożył swój plecak.

Matka spoglądała za nim rozpromienionemi oczyma.

Tadeusz widocznie nie mógł odrazu znaleźć szukanego przedmiotu, bo słychać było stuk jakichś rzucanych na podłogę pudełek i jednocześnie młodzieniec zawołał:

— A gdzież się to podziało?!

— Ależ Tadziu, kłóż to szuka po ciemku. Jeszcze przewrócisz coś, albo rozbijesz. Poczekaj, zaraz ci poświecę.

Pani Dowgirdowa wstała, aby iść do kuchni po świecę.

Odsuwając krzesło spostrzegła leżącą na ziemi fotografię.

(Ciąg dalszy nastąpi).